

## Sędzia Żełudkow

Sędzia Żełudkow przyjechał na daczę w piątek wieczorem, od razu po posiedzeniu, które się przeciągnęło.

Korki w mieście, korki przy wyjeździe, korki na szosie. Czerwony miraż światła stopu. Drobnym zacinający deszczyk przedostający się przez uchyloną szybę, gdy palisz papierosa. Trasa, którą sędzia przemierzał już od dziecka, na przednim siedzeniu, obok ojca, trasa, na której zna każdy zakręt, każdą mglistą niziną połączył ziemi. Teraz są dwa pasy w każdą stronę, a na niektórych odcinkach trzy; w miejscach sygnalizacji świetlnej pojawiły się betonowe pętle zjazdów; tam, gdzie były lasy, stoją kanciaste wieże wielopiętrowych budynków – nowe dzielnice. Ale to jego droga, utrwalona w pamięci, wyjeżdżona. Ileż to myśli przewinęło się w jego głowie podczas jazdy, ile stworzył schematów i kombinacji swoich późniejszych działań! Ale teraz, gdy doskonalony przez lata najważniejszy plan został niemal zrealizowany, droga nagle wycięła mu nieprzyjemny numer: jego samochód z sądowymi numerami, z nieograniczoną przepustką na przedniej szybie, został zatrzymany przez policjanta drogówki.

Nowicjusz, elew, nie zachował się jak należy. Partner zrugął młodzika, przeprosił służalczym tonem Żełudkownika

i życzył mu szerokiej drogi. Ale osad pozostał. Sędzia rozżłościł się, wyobraził sobie, że za miesiąc czy dwa będzie miał służbowe bmw z kogutem, a wtedy żadna swołocz nie ośmieli się... A przecież powinienem zapisać nazwisko i jutro zadzwonić do jego szefostwa – podsumował w myślach Żeludkow. Jak to on się przedstawił? Muzin? Kuzin? Ziuzin? Sędzia nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, tak jakby sierżant, który pozostał w tyle na swoim posterunku, wyczuwał jego zmagania z pamięcią i ze wszystkich sił starał się wywinąć. Żeludkow nie mógł sobie przypomnieć nazwiska i dlatego przyjechał na dacie rozdrażniony.

Był wczesny, zimny wieczór. Od razu naszła go ochota, by pójść do bani wypełnionej parą, na gorącą lipową półkę. Żeludkow zastanawiał się przez kilka sekund – i ze smutkiem odmówił sobie upragnionej przyjemności. Przecież jutro przyjadą goście. Wyjątkowi goście. Andriej Porfirjewicz nie lubi, gdy bania jest wilgotna po poprzednim dniu.

Rzecz jasna Żeludkow mógłby już postąpić tak, jak chciał. Jego kandydatura została zatwierdzona. Dzisiaj wykonał swoją część umowy, ogłosił właściwe postanowienie, odmówił rozpoznania sprawy. Ale Żeludkow miał nawyk dodatkowego zabezpieczania się i unikania pośpiechu.

Bagażnik samochodu był wypełniony żywnością i alkoholem. Żeludkow wywiedziało się, w czym gustują wszyscy czterej goście, i zapamiętał niuanse – na przykład Andriej Porfirjewicz lubi wyłącznie hiszpańskie, zielone

oliwki faszerowane ostrą papryką; wiedział, że wszyscy czterej, mimo że zajmują stanowiska wyższe od niego, nie odczytają jego przezorności jako próby wysługiwania się, stawania na tylnych łapach. Cenią go właśnie dlatego – że przywiązuje wagę do każdego szczegółu.

„Zastępca Przewodniczącego Sądu Najwyższego” – wypowiedział na głos Żeludkow, upajając się słowami. Tutaj, na dacz, nikt go nie usłyszy, nie zobaczy jego napawania się własną osobą. Decyzja zapadła. Jutro jego nominacja zostanie oblana, zatwierdzona pobrzękiwaniem kieliszków, uczczona na poziomie międzyinstytucjonalnym – Maticyn z Prokuratury Generalnej, Woronow z Federalnej Służby Bezpieczeństwa, Gołowko z Wydziału Sądu Wojskowego oraz Łappo, pierwszy zastępca Sądu Najwyższego, przejmujący stery następcy, to już pewne... Wszyscy studiowali na wydziale prawa. Łappo był o trzy lata wyżej. Przyjaźnili się, a później ich drogi się rozeszły. Po pewnym czasie, trzy lata temu, znów się spotkali – przy okazji sprawy, w której Żeludkow dzisiaj postawił kropkę nad i.

Zawczasu zapamiętał tę sprawę, na długo przed tym, zanim została przekazana do Sądu Najwyższego i zyskała rangę dzięki apelacjom z sądów niższych instancji. Żeludkow miał swoich ludzi na dole, w wybranych sądach obwodowych i rejonowych, którzy informowali go o procesach z dobrymi perspektywami. Uważnie czytał gazety, przyglądał się, oceniał wartość spraw.

Właśnie w ten sposób pozyskał swoje sędziowskie wpływy – umiając unikać spraw bez perspektyw,

lawirując, manewrując, a przejmując te procesy, dzięki którym prowadzące je osoby *rosną*. Takie sprawy nie zapewniały pieniędzy, wręcz przeciwnie: nie można się było na nich wzbogacić, nie można było liczyć na kokosy dzięki procesowi. Ale jeśli zrobiłeś wszystko, co trzeba, to będzie ci to zapamiętane. Tylko takie sprawy torują drogę na sam szczyt.

Tej obecnej Żeludkow zaczął przyglądać się uważnie po przeczytaniu artykułu w gazecie federalnej. Mowa była raptem o sędzie rejonowym, o odmowie ekshumacji i pobrania próbek DNA. Głęboka prowincja, lokalne historie. Ale on od razu ocenił, kto tak naprawdę domagał się sekcji zwłok. Kto i kiedy został zabity. Zorientował się, jakie siły biorą udział w grze: organy bezpieczeństwa, dyplomaci, administracja prezydenta. Domyślił się, że powódnie nie odpuszczą i sprawa bez wątpienia trafi do Sądu Najwyższego. I kandydatura sędziego z pewnością zostanie zatwierdzana w porozumieniu z FSB.

W myślach oszacował rangę sprawy. W głowie rozłożył na czynniki pierwsze wszystkie okoliczności. I doszedł do następującego wniosku: jeśli sprawa zostanie przydzielona bezpośrednio jemu, to po uwzględnieniu wszystkich dotychczasowych zasług bezwzględnie zapewni mu ona fotel zastępcy przewodniczącego.

Żeludkow przygotowywał się już na etapie, gdy sprawa dopiero buksowała w sądach niższych instancji. Porozmawiał, z kim trzeba, żeby dokładnie wiedzieć, w którym kierunku wieją polityczne wiatry. Jednym ludziom

posmarował. Drugim podrzucił dwa, trzy przemyślenia. Trzecim dał do zrozumienia, że akurat on nie chciałby otrzymać tej sprawy, gdyż jest zbyt niebezpieczna – przez takie procesy załamują się kariery. Czwartym uprzejmie przypomniał o dawnych zobowiązaniach. Ostatecznie sprawa sama trafiła do niego, spoczęła na jego sędziowskim biurku w postaci dziesiątków tomów. Stanowisko zastępcy ma zagwarantowane, o czym napomknęli i Woronow, i Łappo. Ważne było tylko to, żeby poprowadzić wszystko bardzo skrupulatnie.

A przy skrupulatnym podejściu trzeba było się nieźle nagimnastykować. W ciągu trzech lat wielka polityka trzykrotnie ulegała zmianom. I trzykrotnie Żełudkow był zmuszony całkowicie modyfikować linię sędziowską.

Najpierw skłaniano się do wariantu kompromisowego, częściowego uznania odpowiedzialności Związku Radzieckiego i zakwalifikowania czynu jako „zabójstwa będącego następstwem wcześniejszej zmywy”. Możecie się powołać, sędzio Żełudkow, na przedawnienie. Co znaczyło odbić piłeczkę – ale delikatnie.

Później, po jubileuszowej przemowie prezydenta obcego państwa, zaczęto domagać się zaostżenia kursu: to było jak całkowite odrzucenie odpowiedzialności, ale ujęte w ramy dyplomatyczne.

A trzecia wytyczna, już po rozmieszczeniu amerykańskich wojsk, była następująca: odpowiedzieć asymetrycznie, „splunąć im w twarz”, jak wyraził się Łappo. I to właśnie Żełudkow wpadł na pomysł, jak sprawić wrażenie,

że procedura prawna jest choćby minimalnie przestrzegana, i zarazem doprowadzić do najcięższej zniewagi.

Przez trzy lata Żółdkow przywykł do tego, że w prowadzonej przez niego sprawie przewijają się tysiące pokrzywdzonych. I wszyscy oni są martwi od wielu lat. Zostali rozstrzelani przez NKWD w ciągu trzech dni w podmiejskim lesie sosnowym. Niekiedy nawet odczuwał nieoficjalne, własne, zbędne zainteresowanie tymi obcymi nieboszczykami, obcymi oficerami, którzy poprzez śmierć przeistoczyli się w całość, w ludzką warstwę; którzy pozostawili po sobie zwały materiałów archiwalnych: rozkazy dotyczące dyslokacji obozów, spisy według stopni wojskowych, spisy osób skazanych na rozstrzelanie...

Żółdkow wiedział, że sędzia powinien odgradzać się i chronić samego siebie. Zarówno od oskarżonych, jak i od pokrzywdzonych. Nie w imię sprawiedliwości, triumfu prawa, o nie. Takie rozumowanie byłoby wręcz śmieszne. Powinien to robić dla samego siebie.

Sędziowie to wąska kasta. Zamknięty krąg z własnym systemem rozumienia problemów, historią, folklorem, wiedzą, które nie przedostają się na zewnątrz, nie są przekazywane ludziom spoza kręgu... Prokuratorzy, policja, służby bezpieczeństwa, administracja prezydenta – dużo wiedzą, wydają nieoficjalne rozkazy sędziom, uzgadniają wymiar kary i naiwnie myślą, że są ulepieni z tej samej gliny.

Ale mimo wszystko to sędzia wydaje wyrok! Dlatego sędziowie rozumują po swojemu, opanowali tajemną

sztukę, o której nie można przeczytać w żadnej książce. Potrafią identycznie argumentować na rzecz sprawiedliwego i niesprawiedliwego wyroku. Sędzia zapisuje cudzy los. I powinien umieć zabezpieczyć się przed *odpłatą*. Na wydziale prawa nikt tego nie uczy. To przychodzi nie tyle z doświadczeniem, ile z mądrością.

Żeludkow potrafił ogłaszać wyrok, nie angażując sił duchowych. Skazywać – tak jakby nie skazywał osobiście. Sądziły za niego sędziowskie biurko, tomy ustaw w szafach, czarna żeliwna statuetka z odlewni w Kasli, służąca jako presse-papier: celujący żołnierz w papasze na głowie, podparty na kolanie, ze zrolowanym płaszczem przewieszonym przez ramię. Sądził grafitowy ołówek, którym Żeludkow poprawiał robocze notatki, a także sam ogromny budynek sądu, jego żyrandole, schody, korytarze, kryształowa, zmętniała popielniczka. I co najważniejsze – toga.

Inni, młodzi, głupkowaci, zmieniali togę niemal co roku, zamawiali nową z lepszego materiału, zabierali do domu, wieszali w jednej szafie ze zwykłymi, cywilnymi ubraniami. Niedorajdy. Czego się można po nich spodziewać! Toga Żeludkowa wisiała w jego sędziowskim gabinecie, w specjalnej szafce, oddzielona od ubrań, które nosił poza gmachem sądu. Wychodząc do domu, zamykał ją na klucz i mówił cicho:

– Do widzenia, panie sędzio.

I nigdy, przenigdy, aż do obecnego dziwnego procesu, nie pozwalał sobie na to, żeby pokrzywdzeni przedostali

się do jego głowy. A ci jednak się przedostali – mimo że Żeludkow zachowywał czujność. Zapełnili jego czaszkę tak, jak pasażerowie zapełniają wagon moskiewskiego metra w godzinach szczytu.

Poradziłby sobie, gdyby było ich kilkudziesięciu. Może dałby sobie radę i z setką. Ale miał przeciwko sobie tysiące... Pokonała go siła dużych liczb. A on, niezguła, przegapił, nie domyślił się zawczasu, że w sprawach zagrobowych liczba też ma znaczenie – i to jakie!

Niby ich *nie ma*, oficerów obcego kraju, wziętych do niewoli w trzydziestym dziewiątym roku podczas dawnej krótkiej wojny i rozstrzelanych z rozkazu Wodza. I jaka to różnica, ilu ich nie ma: jednego czy wielu tysięcy? Nie ma, to nie ma. „Nie ma” to słowa dobitne i ostateczne. Ale okazuje się, że oni tak jakby są: w myślach Żeludkowa.

Tylko raz przeglądał akta łagrowe konkretnych osób. Musiał doprecyzować jedną kwestię, która miała znaczenie procesowe. Przejrzał łącznie dziesięć teczek personalnych, przeczytał dane ankietowe, zaciekało go to, przyjrzał się zdjęciom, twarze jak twarze, o niektórych nawet byś nie powiedział, że to Polacy, znaczy się, obcokrajowcy...

I zaczęło mu się śnić, że wchodzi do sali rozpraw, żeby ogłosić wyrok w *ich* sprawie, siada w swoim dobrze znanym fotelu, podnosi wzrok na salę, w której już siedzi publiczność: dziennikarze, dyplomaci, krewni, podstawiona agentura – i widzi, że na krzesłach zasiedli też nieboszczycy w swoich przegnitych mundurach, w wygniecionych



czapkach z daszkiem. Siedzą w milczeniu. Czekają na jego – sędziego – słowa.

Żeludkow nie wystraszył się. Nie rozsypał. Nie poszedł po pomoc do lekarzy: doniosą Łappo lub Woronowowi, a ci odsuną go od sprawy i zmuszą do przejścia w stan spoczynku ze względu na zdrowie. Nauczył się, że po wzięciu tabletek można spać bez koszmarów. I ogłosił ostateczne odrzucenie wniosku o rozpoznanie sprawy.

Potomkowie rozstrzelanych oficerów domagali się ich oficjalnej pośmiertnej rehabilitacji.

Pozew można było odrzucić na różne sposoby. I on, otrzymawszy od Łappo wytyczną, żeby „splunąć w twarz”, przypomniał nieboszczykom swoje niespokojne sny. Przyczepił się do szczegółów o charakterze procesowym, do statusu obywateli nieistniejącego już przedwojennego państwa, do braku pełnomocnictw u zagranicznych reprezentantów. I wydał celowo wydumane, mętne postanowienie, z którego wynikało, że wniosek o rehabilitację mogliby złożyć wyłącznie sami pokrzywdzeni.

– A jak zwałą się do ciebie nieboszczycy? – zażartował rozbawiony Łappo, gdy jeszcze przed rozprawą Żeludkow przeczytał mu projekt orzeczenia. – Nie boisz się?

– Oni nie mogą napisać wniosku – odparł Żeludkow pouczającym tonem. – Przecież są martwi.

Łappo zachichotał po raz kolejny i złożył podpis pod projektem.